

Antybohater

30 maja 2024

Facet ukrywający się pod tym tytułem, to oczywiście ja, w doborowym towarzystwie przyjaciół o podobnych życiorysach, cechach charakteru i poglądach na życie. Większość z nich już od dawna przebywa w Krainie Wiecznych łowów i tym samym nie może przekazać mi wyrazów oburzenia, że zaliczam ich do tej kategorii. Ale innych, których widzę niemal codziennie na ekranie telewizora, bym się nie ośmielił. Są zresztą przekonani o swoim bohaterstwie i wyrazy uwielbienia ze strony otoczenia traktują jako należne lenno.



„Antybohater” w naszych słownikach i leksykonach nie jest opisywany wyłącznie w czarnych barwach. To najczęściej człowiek o przyzwoitym życiorysie, czasem nieco leniwy, ale chętny do pomocy, który pewnej części społeczeństwa kojarzy się z bezinteresownym poświęceniem, na ogół wymagającym ponadprzeciętnej odwagi. To ta społeczność nazywa go bohaterem. On może to przyjmować z zadowoleniem i po dłuższym czasie zaczyna wierzyć, że ma taką cechę.

Nie każdy lubi

Ale nie każdy tak reaguje. Są ludzie – i oni właśnie stają się świadomymi antybohaterami – którzy uważają, że wprowadzić w życie robili to co należy, ale nie kojarzą tego z bohaterstwem. Robią coś pozytywnego i wymagającego odwagi, bo mają wolną wolę i możliwości wyboru, a los (czyli przypadek) zdecydował, że są tu i teraz.

Nieskromnie próbuję zaliczać się właśnie do tej kategorii. Kiedy zdarzało się, że ktoś, przedstawiając mnie i kolegów grupie młodzieży lub ważnych oficjeli, nazywał nas bohaterami, wpadałem w rozdrażnienie i starałem się to tłumaczyć jego nadmierną grzecznością albo zamiłowaniem do żartów.

Mój nie najbardziej udany życiorys jest potwierdzeniem przypadkowości szachowań, narzucanych przez okoliczności, które ktoś i kiedyś może uznać za pozytywnie niestandardowe.

Przed II wojną światową byłem aktywnym harcerzem. Nic więc dziwnego, a tym bardziej bohaterskiego, że w drugim roku hitlerowskiej okupacji znalazłem się w konspiracyjnym harcerstwie, czyli Szarych Szeregach. Robiliśmy wiele rzeczy drażniących okupanta, mieszczących się głównie w pojęciu tzw. małego sabotażu. Czy malowanie nadużywanych obecnie kotwic (PW), lub przestawianie drogowskazów na drogach dojazdowych do Warszawy było obarczone podwyższonym ryzykiem? Było – ale nikomu z nas nie kojarzyło się z bohaterstwem. Przecież każdy harcerz powinien robić coś dla pokrażonej w wojnie ojczyzny.

Poza niemal codziennymi wysiłkami wzbogacania małego sabotażu, zaliczyłem w tym czasie (1942-1944) konspiracyjną szkołę podoficerską „Wiarus” i wyszkoliłem się w realizowaniu łączności międzydzielnicowej. Piszę to z pewną satysfakcją, bo do dzisiaj pozostała mi umiejętność spacerowania przez starsze i nie do końca zniszczone dzielnice Miasta bez paradowania ulicami. „Łącznik »dalekiego zasięgu« chodził łączącymi się piwnicami, kanałami, przeskakiwał niskie i wysokie płoty

łączące podwórka, biegał po dachach i wyrąbywał sobie niewielkie przejścia w łączących się ścianach budynków na I, II czy nawet III piętrze. Zastępował niemal nieobecne środki łączności telefonicznej i radiowej.

W Powstaniu

Potem wybuchło Powstanie. I znowu przecież nie my – szaraczkowie – decydowaliśmy o jego formach i dacie. Decyzje zapadały „na wysokim szczęblu”. My byliśmy tam, gdzie rzuciły nas rozkazy, albo przypadek. Moja specjalność była wykorzystywana nie tylko przez harcerskie ośrodki dowodzenia. Docierało mnie dodatkowymi zalakowanymi kopertami i paczuszkami o nieznanej zawartości. Nie przeczę – przejście z dodatkowym obciążeniem z placu Napoleona na Daniłowiczowską na Starówce, częściowo „na czworakach” kanałami o 60 cm wysokości, nie było łatwe i przyjemne. Było tylko (albo aż) wykonaniem rozkazu lub prośby. I w tych działaniach czuliśmy się bardziej rzemieślnikami, niż bohaterami. Tym bardziej że korzystaliśmy czasem ze wskazówek pracowników sieci kanalizacyjnej, dla których przemieszczanie się kanałami było częścią pracy.

Po kapitulacji Powstania mieliśmy dwie możliwości. Albo opiekować się rodziną i wraz z nią wyjść z Warszawy z ludnością cywilną, albo stać się jeńcami wojennymi i dać się zamknąć w odpowiednich obozach jenieckich. Pierwsze rozwiązanie wydawało się bardziej ryzykowne. Niemcy mogli „wyłapać” z ludności cywilnej młodzież męską, doskonale wiedząc, że znaczna jej część czynnie uczestniczyła w Powstaniu. Nie było w ogóle wiarygodnych informacji, jak potraktują ludność cywilną. W gronie najbliższych kolegów wybraliśmy więc drugie rozwiązanie, bo z obozów jenieckich docierało trochę listów. Wynikało z nich, że jeńcy wojenni są pod opieką armii (Wehrmachtu), która stara się przestrzegać zasad ustalonych w Konwencji Genewskiej. Z perspektywy realnych, późniejszych zdarzeń wynika, że podjęliśmy słuszną

decyzję. Ale i ta decyzja była zachowawcza, a nie bohaterska.

W niemieckiej niewoli, z różnymi przygodami, spędziliśmy 7 miesięcy. Wspominając ten okres, nie wpadajmy w nadmierny optymizm. To były trudne i głodne miesiące. Niemiecki system zaopatrzenia żywnościowego wojska i jeńców zaczynał stopniowo pękać w szwach. Niemcy opuścili już tereny b. ZSRR. Walki toczyły się jeszcze na obecnych polskich ziemiach zachodnich, w części krajów południowej Europy i we Francji. Ale we Francji, po udanym desancie w Normandii 6 czerwca 1944 roku, tereny kontrolowane przez Niemców były już niewielkie. Spektakl wielkiej wojny zbliżał się wyraźnie do końca.

Wołność z Kanady

Dla mojej grupy jeńców z Powstania, zlokalizowanych w obozie VIJ w Dorsten, początek końca zaczął się bezsensowną ewakuacją obozu „na piechotę”. Szliśmy tak parę dni, i doszliśmy w rejon Hannoveru, gdzie w połowie kwietnia 1945 „dogoniły” nas zagony pancerne I Armii Kanadyjskiej.

Wbrew pozorom to nie był dla nas koniec okresu sprzyjającego bohaterskim zachowaniom. Kanadyjczycy z zadziwiającą sprawnością zweryfikowali nas i ubrali w brytyjskie mundury, rozdali wyciągnięte z francuskich magazynów wojskowych stare, ale nieużywane karabiny Lebel, pamiętające I wojnę światową.

Już na pierwszym zwołanym pospiesznie apelu okazało się, że te starania o nasze samopoczucie nie były całkiem bezinteresowne. Powierzono nam ochronę polowego lotniska pod niewielkim miastem Celle. Przez otaczające tę miejscowość i lotnisko lasy przemieszczały się często resztki rozbitych oddziałów SS, które próbowały atakować lotnisko i uszkadzać stacjonujące myśliwce. Potyczki z tymi oddziałami trwały czasem tylko kilka godzin, ale były i dwudniowe. Kilku chłopców rannych w tych potyczkach Kanadyjczycy zabrali do swoich polowych szpitali.

Nie pamiętam, aby ktoś z naszej grupy kwapił się wtedy do

podejmowania bohaterskich czynów. Każdy miał już dosyć wojny i marzył o spokojnym powrocie do kraju, rodziny i nauki. Zdawaliśmy sobie sprawę, że straciliśmy jeden rok i będziemy przez pewien czas traktowani jak opóźnieni gimnazjaliści, licealiści, albo studenci.

Sądzę, że ta syntetyczna historyjka może pomóc w zrozumieniu tezy, o zbyt częstym traktowaniu normalnego zachowania ludzi w warunkach wojennych, jako czegoś nadzwyczajnego i tym samym bohaterskiego.

Z upływem lat niemal każdy żyjący jeszcze żołnierz – kombatant staje się bohaterem w opinii publicznej. To nie jego wina. Takie jest zapotrzebowanie środków masowego przekazu, szkolnej młodzieży i pasjonatów militarnych epizodów historii.

Wszyscy mają dobre intencje. Chcą pokazać i uhonorować tych, którzy w trudnych dla kraju, głównie wojennych warunkach, podejmowali działania nie zawsze bezpieczne, ale korzystne dla rodaków. Antybohaterowie nie są temu przeciwni, ale uważają, że trzeba bardziej precyzyjnie oddzielać bohaterstwo od standardowego postępowania każdego porządnego człowieka, który znalazł się w takiej sytuacji.

Autorstwo: Tadeusz Wojciechowski

Źródło: Trybuna.info